

# Zimowe opowieści



# Zimowe opowieści



Opracowanie tekstu: **Anna Willman** na podstawie:

- Charles Dickens, *Opowieść wigilijna*, tłum. Cecylia Niewiadomska (*Wigilia Bożego Narodzenia*, Warszawa 1909).
- Ernst Theodor Amadeus Hoffmann, *Dziadek do orzechów*, tłum. Józef Kramsztyk, na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury ([www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl); CC BY-SA 3.0), opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Aneta Rawska.
- Hans Christian Andersen, *Bahwanek ze śniegu*, tłum. Franciszek Mirandola.
- Hans Christian Andersen, *Choinka*, tłum. Cecylia Niewiadomska, na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury ([www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl); CC BY-SA 3.0), opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Weronika Trzeciak.
- Hans Christian Andersen, *Dziewczynka z zapalkami*, tłum. Cecylia Niewiadomska, na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury ([www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl); CC BY-SA 3.0), opracowanie redakcyjne i przypisy: Dariusz Gałęcki, Iwona Ciećwierz, Aleksandra Sekuła.
- Hans Christian Andersen, *Królowa śniegu*, tłum. Cecylia Niewiadomska, na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury ([www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl); CC BY-SA 3.0), opracowanie redakcyjne i przypisy: Dariusz Gałęcki.

Korekta: **Zespół Wydawnictwa SBM**

Projekt makiety: **Mariusz Dyduch**

Opracowanie graficzne: **Luba Ristujczina Studio Litera – [www.studiolitera.pl](http://www.studiolitera.pl)**

Ilustracje w książce: **Anna Jaroń** (*Opowieść wigilijna*, *Dziadek do orzechów*, *Bahwanek ze śniegu*, *Choinka*), **Tomasz Płaskowski** (*Dziewczynka z zapalkami*, *Królowa śniegu*)

Projekt okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracja na okładce: **Anna Jaroń**, © Eugene78 | **Dreamstime.com** (detale)

© Copyright for the cover and layout by Wydawnictwo SBM Sp. z o.o., 2021

Warszawa 2021



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.  
ul. Sułkowskiego 2/2  
01-602 Warszawa

[www.WYDAWNICTWO-SBM.pl](http://www.WYDAWNICTWO-SBM.pl)

ISBN 978-83-8222-549-5

# Opowieść wigilijna

Charles Dickens





# Rozdział I

## W kantorze

Marley nie żył od siedmiu lat. Nie było co do tego żadnych wątpliwości, bo akt jego śmierci podpisali doktor, proboszcz, pisarz parafialny, właściciel zakładu pogrzebowego i – co najważniejsze – jego wspólnik Scrooge. A podpis Scrooge’a zdaniem wszystkich kupców i bankierów był pewniejszą gwarancją niż najlepsza kasa ogniotrwała.

Scrooge i Marley byli wspólnikami od niepamiętnych czasów. Kiedy Marley umarł, Scrooge został jego spadkobiercą i wykonawcą testamentu. Przez całe życie był jego jedynym przyjacielem, a po śmierci jedynym człowiekiem, który pojawił się na jego pogrzebie.

Nie należy sobie tylko wyobrażać, że odejście przyjaciela zgnębiło przykładowego wspólnika lub zmąciło mu spokój umysłu. To właśnie podczas pogrzebu Scrooge, krocząc samotnie w jednoosobowym kondukcje żałobnym, wpadł na pomysł znakomitego interesu, który przyniósł mu znaczny dochód.

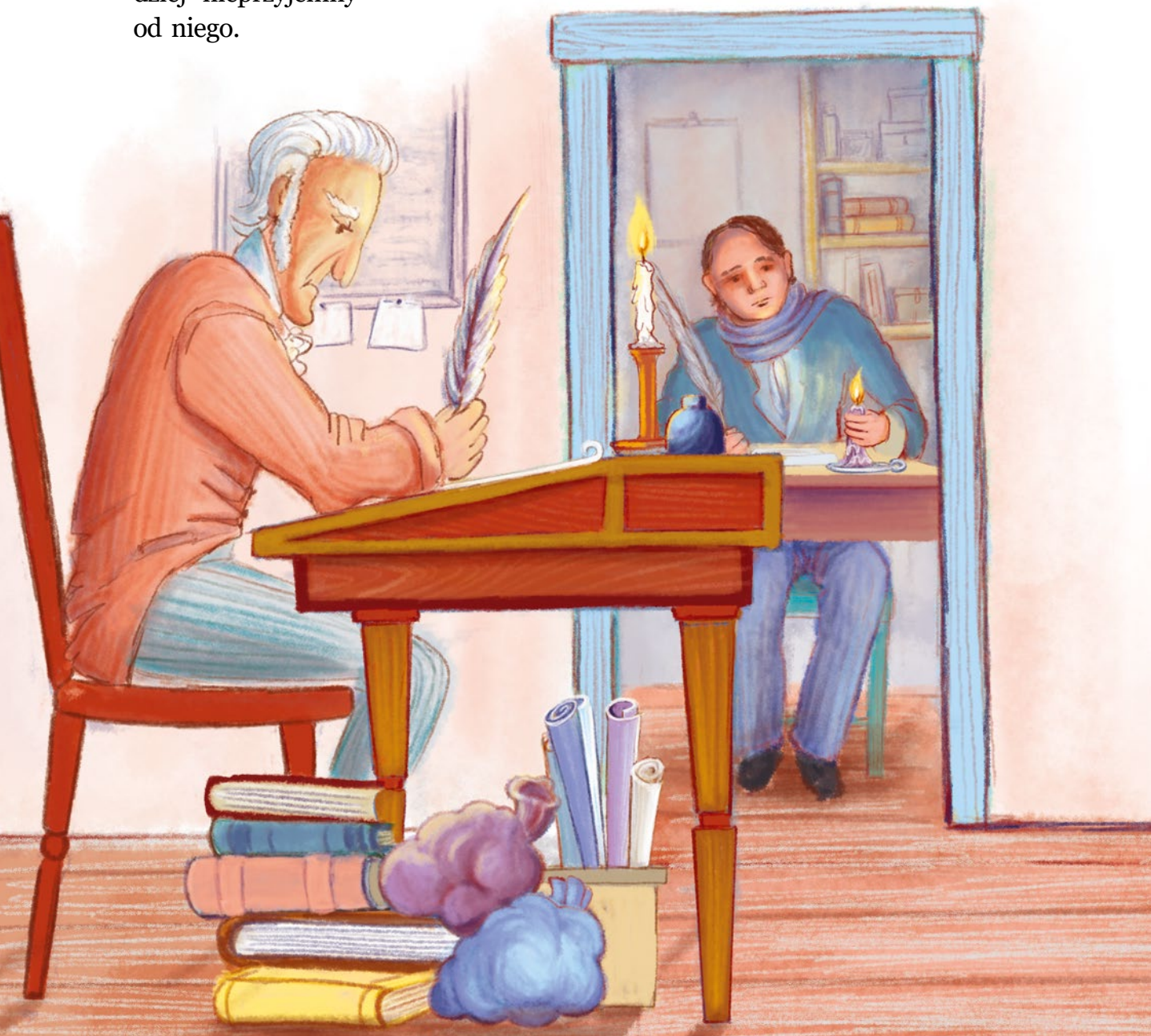
Piszę o tym wszystkim jedynie dlatego, aby czytelnik wiedział i pamiętał, że Marley nie żył już od siedmiu lat, gdyż inaczej historia, którą zamierzam opowiedzieć, nie miałaby w sobie nic nadzwyczajnego.

Scrooge nie stał z szyldu nazwiska wspólnika, więc nad drzwiami kantoru błyszczał zawsze napis: *Scrooge i Marley*. Dom handlowy, który niegdyś razem prowadzili, znany był wszystkim pod tą właśnie nazwą. Tylko mniej świadomi interesanci i ci, którzy w branży handlowej byli nowicjuszami, nazywali niekiedy pana Scrooge’a Marleyem, on jednak wcale się tym nie przejmował i reagował na oba nazwiska.

Trzeba przyznać, że pan Scrooge miał głowę do interesów i trzymał je żelazną ręką. Kiedy raz już coś w nią pochwycił, nie wypuszczał, a potrafił jak nikt wyrwać, wykręcić, wydusić i wyszarpać wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Był to przy tym skąpiec nad skąpcami. Twardy jak kamień, a przy tym milczący i zamknięty w sobie. Lodowaty chłód serca skurczył mu ob-

licze, ścisnął szpiczasty nos, pomarszczył czoło, zapalił oczy zimnym blaskiem stali, zacisnął mocno wąskie sine usta. Sztywna postawa, głos suchy i skrzypiący, białawy szron na głowie, brwi i szpiczasty podbródek sprawiały, że był podobny do starego ostrego gwoźdźcia. Gdziekolwiek się pojawił, wiało chłodem. Nawet w największe upały w jego kantorze panowało przenikliwe zimno.

Kaprysy pogody nie miały dla niego żadnego znaczenia – gorące letnie słońce go nie grzało, mrozy nie mroziły. Żaden wiatr nie mógł być ostrzejszy i bardziej nieprzyjemny od niego.



Niepogoda nie mogła mu dokuczyć – nawet najstraszliwsze ulewy, śniegi, grad i zawieruchy nie zwracały jego uwagi. Było mu wszystko jedno, byle interes szedł dobrze. Nikt nigdy nie zatrzymywał go na ulicy, aby zapytać z uśmiechem: „Jak się masz, kochany Scrooge? Co tam słyszać? A może wpadłbyś do nas na herbatę?”. Żaden żebrak nigdy nie poprosił go o jałmużnę, żadne dziecko nie zapytało, która godzina, a zbłąkany przechodzień o drogę. Chyba tylko psy towarzyszące niewidomym zauważały jego obecność, bo kiedy się zbliżał, odciągały swych panów, machając znacząco ogonem, jakby chciały powiedzieć: „Mój biedny panie, czasem lepiej nie widzieć, niż mieć oczy i patrzeć na kogoś takiego!”.

Lecz pan Scrooge wcale się tym nie martwił. Wręcz przeciwnie – on właśnie tego pragnął: wydeptać sobie ścieżkę obok szerokiego gościńca, którym biegnie cały świat i ostrzegać przechodniów, aby nie włązili mu w drogę.

Pewnego razu, a była to wigilia Bożego Narodzenia – najpiękniejszy ze wszystkich dni roku – stary Scrooge siedział w swym kantorze, jak zwykle bardzo zajęty. Na zewnątrz panował dotkliwy chłód, świat spowijała gęsta lodowata mgła. Przechodnie chuchali w palce, rozcierali ręce, tupali o bruk, żeby choć trochę się rozgrzać. Było już całkiem ciemno, choć zegar na wieży wybił dopiero trzecią. Światła ukazujące się w oknach wyglądały jak rude plamy na czarnym tle powietrza tak gęstego, że niemal można było je kroić. Mgła wciskała się do domów przez najmniejsze szpary i wszystkie dziurki od klucza, a budynki po obu stronach najciaśniejszej uliczki wyglądały w tej mgle jak posępne duchy.

Drzwi kantoru były otwarte,  
bo Scrooge chciał mieć na



oku buchaltera pracującego w sąsiedniej izdebce, gdzie przepisywał listy. W pokoju Scrooge'a tlił się maleńki ogień – lecz w izbie buchaltera na garstce popiołu żarzył się zaledwie jeden węgielek. Biedak nie miał odwagi dołożyć do paleniska w kominku, bo kosz z węglem stał w pokoju pryncypała, a za każdym razem, kiedy wślizgiwał się z łopatką po choćby kilka bryłek węgla, Scrooge wypominał mu, że doprowadza go do ruiny i groził, że jak tak dalej pójdzie, będzie go musiał zwolnić. Toteż nieszczęśliwy buchalter zawiązał na szyi wełniany szalik i próbował się ogrzać przy nikłym płomyczku świecy.

– Wesółych świąt, wujaszku! Niech cię Bóg błogosławi! – odezwał się nagle młody i dźwięczny głos. Należał do siostrzeńca Scrooge'a, który wpadł niespodzianie do kantoru, rozcierając zmarzniętą rękę.

– E, tam! – rzekł Scrooge. – Głupstwo!

– Święta Bożego Narodzenia, wujaszku, to nie głupstwo. Na pewno nie chciałeś tego powiedzieć, prawda?

– Owszem, chciałem – potwierdził Scrooge. – Wesółych świąt! Też coś! Niby dlaczego masz być wesóły? Nie ma powodu, żebyś się oddawał rujnującej wesołości. I tak jesteś dosyć ubogi.

– No, no! – zawołał siostrzeniec. – A niby dlaczego ty, wujaszku, jesteś smutny i skwaszony? Dlaczego tracisz czas, tonąc w tych nudnych rachunkach? Przecież i tak jesteś dosyć bogaty.

– Głupstwo! – zawołał Scrooge, nie znajdując lepszej odpowiedzi. – Głupstwo! powtórzył zirytowany.

– Nie złość się, wujaszku!

– Jak mam się nie złościć, skoro muszę żyć na świecie pełnym głupców i takich jak ty wariatów? Wesółych świąt! A idźcie wszyscy do licha z tą waszą wesołością! Czymże jest dla was Boże Narodzenie? Chwilą płacenia długów i rachunków, na które często nie macie pieniędzy. Momentem, kiedy sobie uświadamiacie, że jesteście starsi o rok, rok, w którym nie wzbogaciliście się nawet o grosz. Po sprawdzeniu ksiąg rachunkowych przekonujecie się w tym dniu, że w ciągu minionych dwunastu miesięcy żaden interes nie przyniósł wam zysku. Gdyby to zależało ode mnie – dodał z narastającym oburzeniem – to każdego głupca biegającego od domu do domu z okrzykiem „wesółych świąt” na ustach wsadziłbym w kocioł, w którym się gotuje pudding, a potem pochował z gałązką choiny na sercu. Tak jest.

– Ależ wujaszku! – zawołał siostrzeniec – przecież święta Bożego Narodzenia...

– Siostrzeńcze – przerwał surowo starzec – obchodź sobie święta, jak ci się podoba, i pozwól mi obchodzić je na mój sposób.

– Ależ ty ich wcale nie obchodzisz, wuju.

– Tym lepiej. I daj mi już spokój. Wiele twoja wesołość przyniosła ci w życiu!

– Przyznaję, że nie zawsze umiałem korzystać z okoliczności, ale mniejsza o to. Wracając do świąt Bożego Narodzenia... Dla mnie to najpiękniejsza chwila w roku: chwila dobroci, przebaczenia uraz, zabawy, przyjemności. To dzień, w którym wszyscy: mężczyźni, kobiety i dzieci cieszą się i radują. Zapominają o różnicy majątku i stanowiska, a w bliźnich widzą tylko braci i towarzyszy pracy. Dlatego też, chociaż dzień ten nie przyniósł mi nigdy złota ani srebra, jestem za niego wdzięczny i z radością wołam: Niech będą pochwalone święta Bożego Narodzenia!

Buchalter, który przysłuchiwał się tej rozmowie w swej izdebce, mimowolnie uśmiechnął się i przyklasnął. Natychmiast jednak zorientował się, że palnął głupstwo, które nie spodobało się jego pryncypałowi. Całkiem zmieszany chwycił za pogrzebacz, by poprawić palenisko i zagasił niechcący ostatnią iskierkę.

– Niech no jeszcze raz usłyszę podobną bzdurę – zawołał rozgniewany Scrooge, spoglądając w stronę buchaltera – to zamiast świątecznej kolędy dostaniesz pan dymisję! A co do ciebie – zwrócił się do siostrzeńca – jesteś znakomitym mówcą i dziwię się, że nie zasiadasz w parlamencie.

– Nie gniewaj się, wujaszku – rzekł siostrzeniec. – Lepiej przyjdź do nas jutro na obiad.

Scrooge jeszcze bardziej się rozgniewał.

– A idź do diabła! Tak, właśnie. Idź do diabła! – krzyczał.

– Ależ dlaczego, wujaszku?... Dlaczego?...

– Po co się ożeniłeś? – zapytał Scrooge.

– Bo się zakochałem.

– Bo się zakochałeś! – mruknął Scrooge. – Głupstwo. Głupstwo! Dobranoc.

– Mój wujaszku, co ty mówisz? Przecież zanim się ożeniłem, też nigdy mnie nie odwiedzałeś.

– Dobranoc – rzekł Scrooge.

– Nic od ciebie nie chcę, o nic cię nie proszę, dlaczego nie możemy być przyjaciółmi?

– Dobranoc!

– Boli mnie, bardzo mię boli twoja zaciętość, wuju. Cóż mi możesz zarzucić? Przyszedłem dziś do ciebie dla uczczenia Bożego Narodzenia i pomimo przykrości, jaka mnie tu spotkała, będę się cieszył i radował. Tak więc, wuju, życzę ci świąt wesołych!

– Dobranoc! – syknął Scrooge.

Siostrzeniec wyszedł z pokoju bez słowa. Zatrzymał się jeszcze chwilę przed drzwiami buchaltera, by złożyć mu życzenia, a biedny człowiek, choć do szpiku kości przemarznięty, goręcej je przyjął niż stary Scrooge, i dziękując serdecznie, odprowadził gościa aż do sieni.

– A oto drugi głupiec i szaleniec – mruknął Scrooge z gniewem. – Mój buchalter. Ten nędzarz, który zarabia piętnaście szylingów tygodniowo, musi utrzymywać żonę i dzieciaki, będzie mi tu mówił o wesołych świątach! Doprawdy w domu wariatów są chyba rozsądniejsi ludzie.

Tymczasem ów szaleniec, pożegnawszy w sieni młodzieńca, wprowadził nowe osoby. Byli to dwaj panowie o miłym wyglądzie. Zdjęli kapelusze, po czym stanęli przed biurkiem Scrooge’a, trzymając w ręku jakieś papiery.

– Czy to dom handlowy Scrooge i Marley? – zapytał jeden z nich, spoglądając na listę i składając głęboki ukłon bankierowi. – Mam zaszczyt rozmawiać z panem Scrooge’em czy z panem Marleyem?

– Pan Marley od dawna nie żyje – odburknął Scrooge. – Dzisiejszej nocy minie siedem lat od jego śmierci.

– Ach tak... – westchnął nieznajomy. – Mamy jednak nadzieję, że pozostały przy życiu współnik zechce, w imieniu swoim i nieboszczyka, wesprzeć nas hojnym datkiem – rzekł, podając Scrooge’owi dokument, który uprawniał do zbierania składek.

Na dźwięk słowa „hojny” Scrooge skrzywił się, zmarszczył brwi, potrząsnął głową i oddał nieznajomemu papiery.

– W tej radosnej chwili, szanowny panie Scrooge – rzekł tamten, biorąc pióro – mamy nadzieję zebrać dla biednych i niezamożnych braci naszych tak bardzo potrzebne wsparcie. Wokół nas są tysiące takich, którym zbywa na pierwszych potrzebach, i setki tysięcy innych, walczących ostatkiem sił dla zapewnienia bytu swym rodzinom.



- Czy to nie ma więzień? – zapytał Scrooge.
- Och, jest ich aż za dużo – odparł nieznajomy, upuszczając pióro.
- A przytulki? – mówił dalej Scrooge. – Czyżby były zamknięte?
- Przeciwnie, panie – rzekł drugi – i niech Bóg broni, aby to miało nastąpić.
- A domy zarobkowe? A prawa o ubogich i żebrakach? – zawołał Scrooge.
- Domy są pełne, a prawo obmyśla środki ratunku i pomocy.
- A ja się tak przeraziłem tym, co mi pan powiedział, sądziłem bowiem, że jakieś nieszczęście powstrzymało działalność tych pożytecznych zakładów. Ogromnie się cieszę z mojej pomyłki.
- Niestety, wszystkie te instytucje nie są w stanie zapewnić pomocy licznym potrzebującym. Ludzi żyjących w potwornej nędzy jest zbyt wielu. Dlatego staramy się, korzystając z radosnej chwili, zebrać trochę pieniędzy na mięso,

chleb i węgiel dla tych nieszczęśliwych, którym trzeba koniecznie przyjść z pomocą, ponieważ przykra pora roku najdotkliwiej i najboleśniej odczuwać każe niedostatek.

– Ileż pan dobrodziej każe wpisać? – zapytał.

– Nic! – odpowiedział Scrooge.

– Zapewne życzy pan sobie pozostać anonimowym darczyńcą?

– Życzę sobie, żebyście mi, panowie, dali spokój. Ponieważ pytali panowie, czego sobie życzę, taka jest moja odpowiedź. Ja sam wcale się nie cieszę na Boże Narodzenie, skąd więc to dziwne żądanie, żebym dostarczał próżniakom środków do zabawy i rozrywki? Płacę podatki, przyczyniam się więc do utrzymania zakładów, o których mówiłem, a kosztują one bardzo dużo. Niech zatem ci, którym źle we własnych domach, szukają sobie przytułku.

– Nie wszyscy mogą się tam dostać, bo brakuje miejsc – tłumaczył gość. – Są też i tacy, którzy woleliby raczej umrzeć, niż tam trafić, gdyż...

– Cóż, jeżeli wolą umrzeć – przerwał mu Scrooge – tym lepiej. Tym sposobem uniknie się przeludnienia. Zresztą, wybaczą mi panowie, nie znam się na tym i nie mam czasu.

– Gdyby jednak zechciał pan zapoznać się z tym problemem...

– To nie moja sprawa. Mam dość zajęć związanych z własnymi interesami. Dobranoc panom!

Nieznajomi zrozumieli w końcu, że wszelkie próby nakłonienia Scrooge'a do zmiany zdania są daremne, pożegnali się więc i wyszli, a Scrooge wziął się na nowo do pracy, bardzo z siebie zadowolony i w znacznie lepszym niż zwykle humorze.

Tymczasem mgła gęstniała z minuty na minutę, a ciemność stawała się coraz bardziej nieprzenikniona. Na ulicach biegali ludzie z zapalonymi pochodniami i latarniami, migającymi tu i ówdzie – ludzie ci proponowali swe usługi woźnicom, aby biec przed końmi i prowadzić je po drodze. Stara wieża kościelna z gotyckim oknem, z którego zwykle uszkodzony dzwon zdawał się zaglądać ciekawie na siedzącego przy biurku Scrooge'a, teraz znikła zupełnie w ciemnościach i mgle, a zegar kościelny wybijał godziny, półgodziny i kwadransy z przedłużonym jękiem, jak gdyby szczekał zębami. Mróz wzmagął się z każdą chwilą. Gromadka robotników naprawiających rury gazowe rozpałała na rogu ulicy wielkie ognisko, wokół którego kłębił się tłumek obdartych i drżących z zimna ludzi. Grzali sobie skostniałe dłonie, wpatrując się chciwie w dające rozkoszne ciepło płomienie. Niezakręcony kran od wodociągu za-

marzył zupełnie, a wiszące wkoło niego grube sople przystroiły go w lodową brodę, komiczną i przerażającą zarazem.

Migotliwe światła z witryn sklepowych rzucały czerwony odbłask na blade twarze przechodniów. Wystawy składów kolonialnych, sklepów rzeźników i handlarzy drobiu wyglądały tak wspaniale, że aż trudno było uwierzyć, że ich artystyczny przepych ma cokolwiek wspólnego z handlem.

Burmistrz Londynu w swym potężnym zamku Mansion House wydawał rozkazy pięćdziesięciu kucharzom i piwniczym<sup>1</sup>, by przygotowali uroczystą wigilijną, obfitą i wspaniałą jak na burmistrza przystało. Nawet ubogi krawiec, któremu w zeszłym tygodniu burmistrz wlepił grzywnę za pijaństwo, przygotowywał na poddaszu świąteczny pudding, a jego chuda żona z dzieckiem na ręku pobięła do rzeźnika po kawałek mięsa.

Mgła stawała się coraz gęstsza i gęstsza, a mróz coraz bardziej siarczasty, trzaskający i srogi.

Mały ulicznik, właściciel zsiniałego z zimna noska, skulony pod drzwiami kantoru Scrooge'a, zaglądał do środka przez dziurkę od klucza. Zamierzał uraczyć go świąteczną pieśnią, licząc na drobny datek. Zdążył jednak zaśpiewać zaledwie kilka słów: „Hej, kolęda, kolęda!”, gdy Scrooge porwał z biurka ciężką linijkę gestem tak wyrazistym, że przerażony śpiewak uciekł jak oparzony.

Nadeszła wreszcie chwila zamknięcia kantoru.

Scrooge niechętnie podniósł się z krzesła, tym samym dając znak buchalterowi, że może zakończyć pracę i wyjść – nieszczęśnik już od dawna wyczekiwał tej chwili, zgasił więc szybko świecę i wziął do ręki kapelusz.

– Z pewnością nie ma pan zamiaru zaglądać jutro do kantoru? – zapytał Scrooge zgryźliwym tonem, którego nawet nie próbował ukrywać.



<sup>1</sup> piwniczy – w zamożnych domach służący opieką się piwnicą z trunkami.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... – szepnął nieśmiało buchalter.  
– Mam, i to bardzo wiele – odparł pryncypał. – Ale gdybym potrącił panu ten dzień z pensji, pewnie czułby się pan bardzo pokrzywdzony? Och, jestem o tym najzupełniej przekonany.

Buchalter uśmiechnął się gorzko.

– A jednak – ciągnął Scrooge – nie pomyślał pan o tym, jak bardzo ja poczuję się pokrzywdzony, płacąc panu za dzień, w którym nie będę miał z pana żadnego pożytku.

Buchalter ośmielił się zauważyć, że taki dzień zdarza się tylko raz w roku.

– Też coś! – oburzył się Scrooge. – Dziwne usprawiedliwienie bezkarne-go sięgania do cudzej kieszeni, dlatego, że jutro jest 25 grudnia – zrzędził, zapinając surdut pod samą szyję. – No, ale cóż mam zrobić... Muszę spisać jutrzejszy dzień na straty. Proszę mi tylko obiecać, że wynagrodzi mi pan to i następnego dnia przyjdzie do kantoru wcześniej niż zwykle.

Buchalter przyrzekł uroczyście, a Scrooge wyszedł, wzruszając ramionami i pomrukując coś o lenistwie i próżniactwie urzędników. W mgnieniu oka zamknięto kantor. Buchalter otulił się szczelnie białym wełnianym szalikiem (biedak nie mógł nawet marzyć o ciepłym paltocie) i wybiegł wesoło na ulicę. Przejechał się ze dwadzieścia razy po szklistym chodniku wyszlifowanym przez uliczników szykujących od południa ślizgawki, by uczcić jutrzejsze święto, skręcił w zaułek i popędził do domu, by zdążyć jeszcze pobawić się z dziećmi w ciuciubabkę.

## Rozdział II

### W domu

Scrooge zjadł lichego obiad w lichej garkuchni, gdzie zwykle się stołował, przejrzał wszystkie gazety, jakie się tam znajdowały, a potem zajął się tym, co sprawiało mu największą przyjemność – notowaniem w zeszycie zysków, jakie osiągnął tego dnia, oraz zapisywaniem nowych planów i pomysłów na zyski, których spodziewał się pojutrze. Wreszcie tuż przed północą wstał i poszedł do siebie, aby się położyć spać.

Zajmował on lokal, w którym niegdyś mieszkał jego zmarły przed siedmiu laty wspólnik. Mieszkanie składało się z kilku ciemnych pokoi, w wielkim ponurym budynku wznoszącym się na końcu wąskiego zaułka. Dom ten był dziwnie odosobniony – można by pomyśleć, że ukrył się tu kiedyś w odległej młodości, bawiąc się w chowanego z innymi domami, a potem zapomniał drogi powrotnej i utkwił tu już na zawsze. Dziś dom był stary i posępny, tym bardziej że oprócz Scrooge’a nikt w nim nie mieszkał, inne bowiem lokale wynajmowano na kantory i biura kupieckie. Dziedziniec był tak ciemny, że nawet Scrooge, który znał doskonale niemal każdy kamień, musiał iść po omacku, pomagając sobie rękami. Mgła i gruby szron otuliły ciemną bramę tak szczelnie, że zdawało się, jakby lodowaty duch zimy rozsiadł się w niej, pogrążony w smutnym zamyśleniu.

Ale wróćmy do rzeczy. Kołatka wisząca na drzwiach zamiast dzwonka była jak wszystkie kołatki, może tylko nieco większa. Scrooge widywał ją każdego ranka i wieczora, odkąd zamieszkał w tym domu. Należy pamiętać, że Scrooge, jak przystało na prawdziwego mieszkańca Londynu, nie miał ani szczypty tego, co ludzie nazywają wyobraźnią, nie wyłączając kupców, bankierów, ławników i rajców staromiejskich. Trzeba też zaznaczyć, że ani razu nie pomyślał dziś o Marleyu, nie licząc obojętnej wzmianki, jaką zrobił po południu, napomykając o jego śmierci przed siedmiu laty. Proszę mi więc wytłumaczyć, jakim sposobem Scrooge, wsuwając klucz do zamka (nie używając przy tym żadnych czarodziejskich zaklęć), ujrzał w kołatce nie kołatkę, lecz... twarz Marleya!

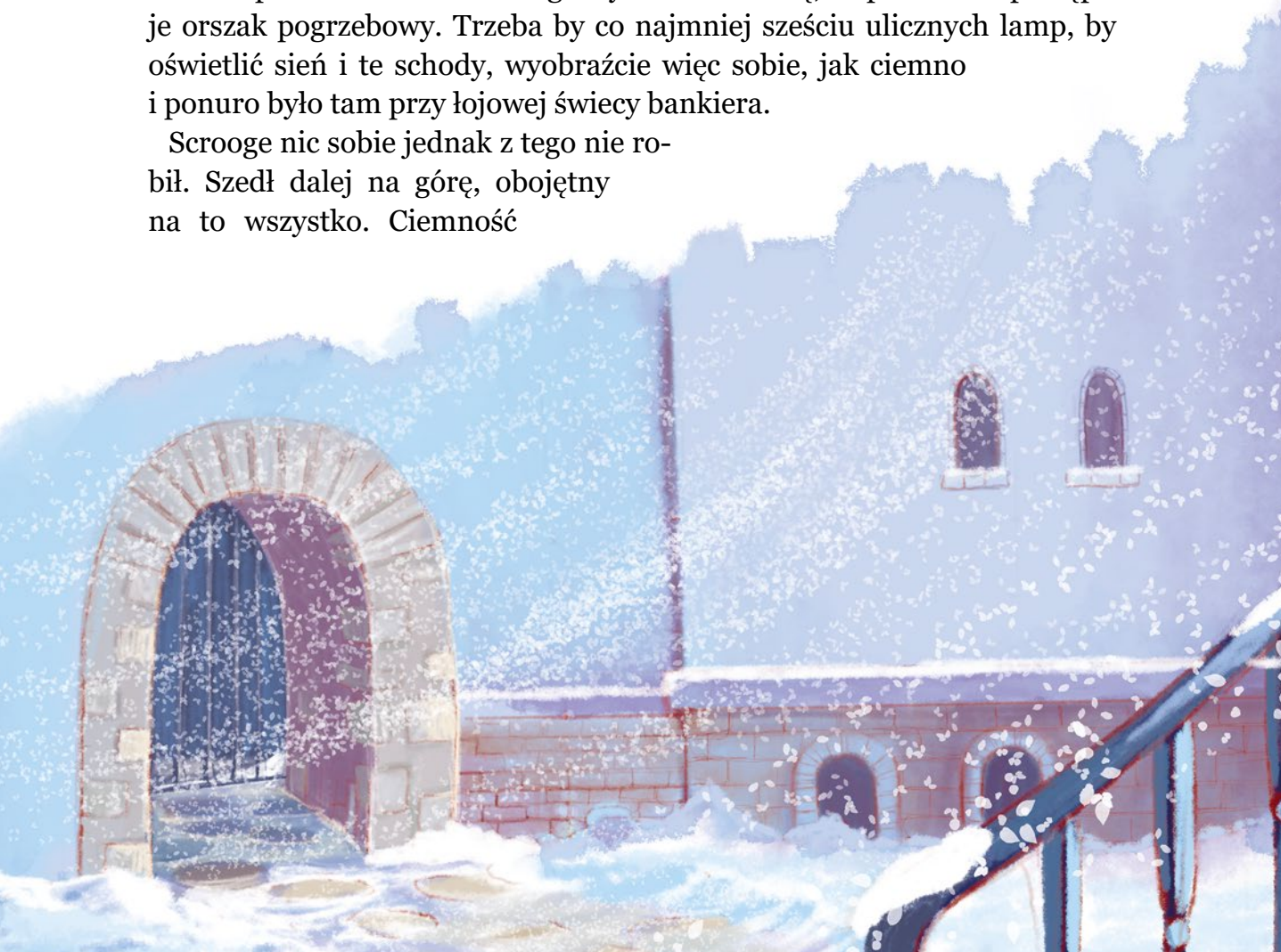
Tak! Twarz Marleya. Nie był to bynajmniej cień – zamglony i niewyraźny jak wszystko inne na dziedzińcu. Otoczona blaskiem twarz wspólnika była niezwykle wyraźna. Nie było na niej śladu gniewu. Marley patrzył na Scrooge’a tak jak robił to zawsze za życia – spod zsuniętych na czoło okularów. Włosy miał dziwnie zmierzwiłone, jakby rozrzucił je podmuch wiatru, a otwarte oczy patrzyły nieruchomo. Te oczy w połączeniu z trupią bladością czyniły twarz straszną, lecz przerażenie, jakiego doznał Scrooge, pochodziło raczej z jakiejś wewnętrznej przyczyny. Gdy jednak zaczął się uważnie wpatrywać w okropne widziadło, twarz znikła i znów widział zwykłą kołatkę do drzwi.

Byłoby kłamstwem twierdzić, że Scrooge nie zadrżał, że nie doznał bardzo przykrego wrażenia, jakiego nie pamiętał od dzieciństwa, wkrótce jednak ochłonął, chwycił mocno klucz, przekręcił go zdecydowanym ruchem, zapalił

świecę, którą zwykle nosił przy sobie, i wszedł do sieni. Nim zamknął drzwi, zawahał się przez chwilę, obejrzał się, jak gdyby spodziewał się zobaczyć na drzwiach tył głowy Marleya i jego cienki warkoczyk wsuwający się przez dziurkę od klucza. Ale za drzwiami było ciemno. Kołatka wisiała na swoim miejscu. Scrooge ochłonął i wykrzyknawszy: „Głupstwo!”, gwałtownie zatrzasnął drzwi. Łoskot wstrząsnął jak grom całym domem. Każdy pokój na piętrze, każda beczka w piwnicy handlarza win, wzięły udział w tym potężnym koncercie huku, odpowiadając głuchym echem. Scrooge nie należał jednak do ludzi, których mogłoby przerazić echo, toteż zaryglował starannie drzwi, przeszedł sień i wszedł na schody, świecąc sobie po drodze cienką świeczką.

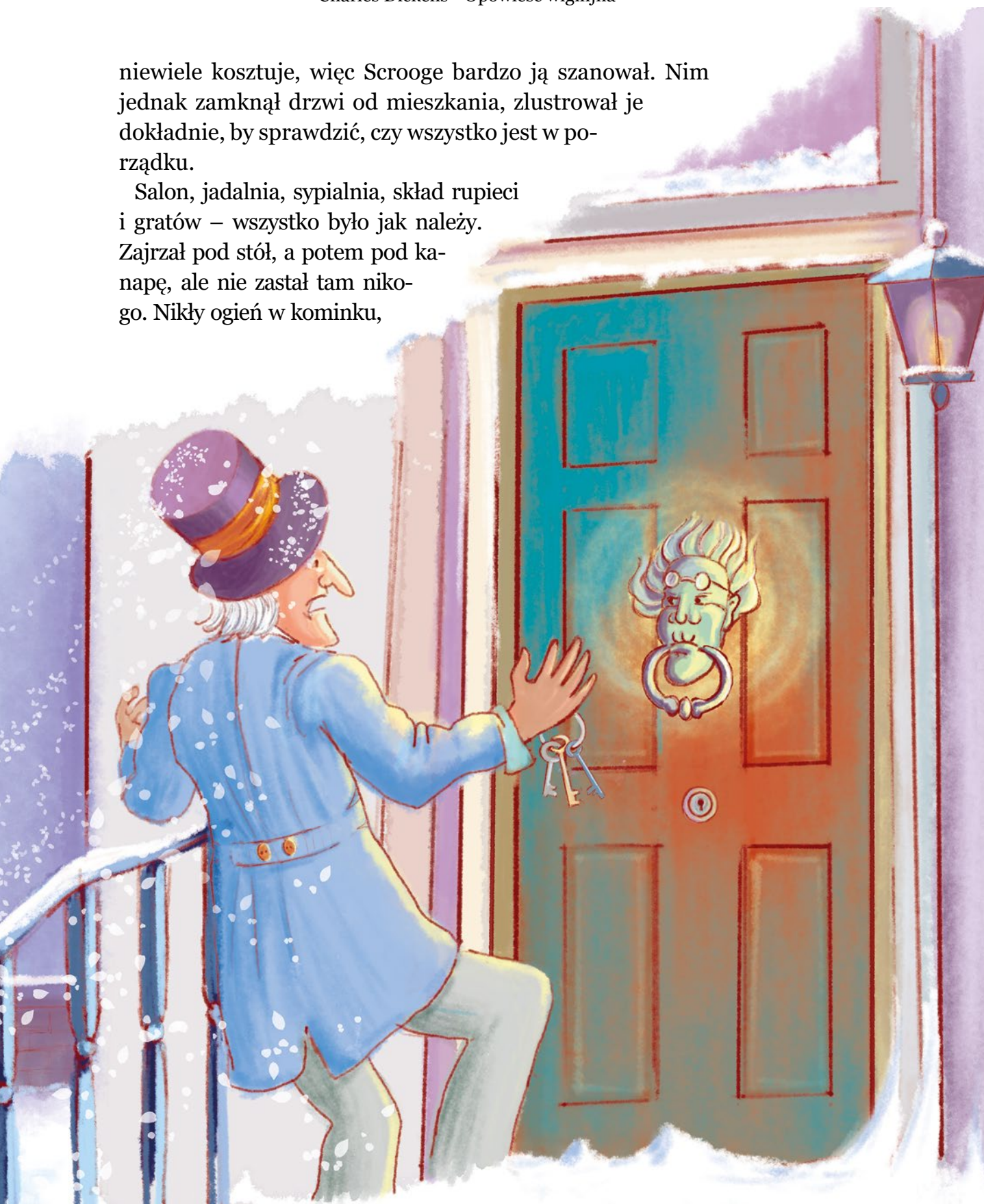
Może widzieliście kiedyś gościnne staroświeckie schody, po których mogłaby wjechać wygodnie sześciokonna karetą? Zapewniam was, że schody Scrooge’a były jeszcze szersze – tak szerokie, że nawet karawan mógłby się na nich pomieścić. Może dlatego wydawało mu się, że przed nim postępuje orszak pogrzebowy. Trzeba by co najmniej sześciu ulicznych lamp, by oświetlić sień i te schody, wyobraźcie więc sobie, jak ciemno i ponuro było tam przy łojowej świecy bankiera.

Scrooge nic sobie jednak z tego nie robił. Szedł dalej na górę, obojętny na to wszystko. Ciemność



niewiele kosztuje, więc Scrooge bardzo ją szanował. Nim jednak zamknął drzwi od mieszkania, zlustrował je dokładnie, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Salon, jadalnia, sypialnia, skład rupieci i gratów – wszystko było jak należy. Zajrzał pod stół, a potem pod kanapę, ale nie zastał tam nikogo. Nikły ogień w kominku,



obok garnuszek z kleikiem (od kilku dni Scrooge jakoś niedomagał), na stoliku filiżanka i łyżeczka – wszystko tak, jak zostawił rano. Nikogo pod łóżkiem, nikogo w szlafroku zawieszonym na kołku. Skład rupieci jak zwykle: stary pogrzebacz, żelazne haczyki, zdarte szczotki, kilka par zużytych butów, połamane kosze, zardzewiałe gwoździe, umywalka na trzech nogach, waliza, kuferek...

Całkiem uspokojony, popchnął zasuwkę, raz jeszcze obejrzał zamek i przekręcił dwa razy klucz, co nie było jego zwyczajem. Tak zabezpieczony od wszelkich niespodzianek rozebrał się, zdjął krawat, włożył szlafrok, pantofle i szlafmycę, po czym zasiadł przed kominkiem, by wypić przygotowany kleik.

Wspomniałem już, że ogień był niewielki – tak wąty, że właściwie nie miał znaczenia w tę zimną, mroźną noc. Scrooge musiał przysunąć się bardzo blisko, by poczuć tę odrobinę ciepła, jakie dawała skromna garstka węgielków – tak mała, że zmieściłaby się w dłoni. Stary kominek, zbudowany dawno temu przez jakiegoś holenderskiego kupca, zdobiły flamandzkie kafle przedstawiające sceny z Pisma Świętego. Na jednym był Kain, na drugim Abel, dalej córka Faraona – królowa Saby, aniołki spływające z nieba na chmurkach podobnych do poduszek, Abraham – król babiloński, Baltazar, apostołowie wypływający w morze w łódkach przypominających salaterki i półmiski. Jednym słowem było tam mnóstwo postaci, które mogłyby zająć uwagę Scrooge’a, ten jednak myślał wciąż o twarzy Marleya zmarłego przed siedmiu laty. Miał ją bez przerwy przed sobą, już nie jako zjawę, lecz jako wspomnienie, którego nie mógł się pozbyć.

Głupstwo! – zawołał nagle. – Ech, głupstwo!

Zaczął chodzić po pokoju, przemierzając go wzdłuż i wszerz. Powtórzył ten spacer kilkanaście razy, po czym znowu usiadł. W chwili kiedy położył głowę na oparciu fotela i spojrzał w górę, jego wzrok padł przypadkiem na nieużywany od dawna dzwonek nad kominkiem, który nie wiedzieć dlaczego był połączony drutem z piwnicą. Z nadzwyczajnym zdziwieniem i przerażeniem ujrzał, że dzwonek zaczyna się poruszać – z początku bardzo wolno, wydając dźwięk cichy, stłumiony, potem coraz gwałtowniej, wreszcie w całym mieszkaniu rozdzwoniły się wszystkie dzwonki. Nie trwało to długo – może pół minuty, najwyżej minutę, ale ta minuta wydawała się Scrooge’owi godziną. Nagle wszystkie dzwonki zamilkły. A potem ciszę przerwał inny odgłos, wydobywający się głucho z otchłani, jak gdyby ktoś przeciągał długi żelazny łańcuch po wszystkich beczkach złożonych w piwnicy winiarza. Scrooge przypomniał sobie, jak dawno, dawno temu niańka